

Pamiętam. Ten dreszcz przenikający mnie w drodze na pierwszy seans do kina przy alei 3 Maja. Umówiliśmy się w trójkę: ja, Edyta i Sebastian, że pójdziemy do tego nowego kina, które ma seanse zawsze w czwartki i które gra te stare filmy. Nigdzie tych filmów w innym kinie nie można będzie zobaczyć. Co grają? „Dziecko Rosemary” Polańskiego. Wow!

Pani Grażynka omiotła nas spojrzeniem Pani Latter z „Emancypantek” Prusa. Jak się wam, dzieci, spodoba, zapraszamy do kupienia karnetu. Opłaca się. Wchodzimy, już, już! Sprawdziła dokładnie, kto siedzi na widowni. Kogo brak. Lecz zanim rozpoczęła swoją prelekcję - te słynne prelekcje - wystawała jeszcze w korytarzu, patrząc kontrolnie za okno, jakby czekając spóźnionych gości. Kiedy dłużej zwlekać już nie wypadało, zamykała drzwi, zasuwiała bordową kotarę, żeby nie wiało, chrząkała i zaczynała w wielkim zdenerwowaniu prelekcję.

Jej wykłady najeżone były anegdotami, dowcipami i kinofilskimi detalami. To z jej ust dowiadywałem się najpierw, kto stoi za jakim sukcesem filmowym i dokąd dzieło, które za chwilę obejrzę, zmierzało w zawsze otwartej, choć przecież niejako skończonej dla tego dzieła historii kina. Sypała ze swojej pamięci tytułami, datami, kierunkami i prądami filmowymi. Głos jej drżał namiętnie i posłusznie poddawał się vibrato filmowej pasji, podszytej podczas samej prelekcji zwykłą, ludzką tremą aktorską, bo przecież ten wykładzik przed filmem, to mały występ przed nielicznie, ale jednak zebraną widownią.

Pani Grażynka perorując spoglądała na swoją widownię i nierzadko pozwalała na dyskusje, wtręty, zaprzeczenia i znaki zapytania, z którego pozwolenia nader chętnie i zbyt pochopnie korzystałem. Ponieważ moje aktywne uczestnictwo musiało nieco nużyć, a nawet irytować osobę o takiej klasie i wiedzy, pewnego dnia chytrze pani Grażynka zaproponowała, żebym i ja stawiał czoła widowni i zaczął przygotowywać prelekcje sam.... To makiaweliczne posunięcie było bardzo skuteczne. Odciążyło ją w żmudnych przygotowaniach do pokazów, a mi na zawsze zamknęło dziób i już nigdy nie przerwałem nikomu żadnej prelekcji w kinie.

Pamiętam ten moment, kiedy światło gasło, pamiętam, że lubiłem siadać w pierwszym rzędzie, by być bardziej w filmie. Pamiętam skrzywienie foteli, chichoty Eli Łukaszus, pomruki zadowolenia Stasia Miedziewskiego, kiedy sklejka w filmie była szczególnie udana, sfinksowy, nieprzenikniony wyraz oczu Joli Krawczykiewicz po seansie Antonioniego, listopadowy deszcz za ekranem dudniący pamiętam i zachód letniego słońca w czerwcu po wyjściu z kina.

Ten tłumek stałych bywalców w foyer, uczucie przynależenia do elity intelektualnej Słupska, snobistyczne szepty nas, młodych, którzy czerwili się z radości, że starsi rozmawiają z nami o Bergmanie, wszystko doskonale pamiętam. Uważałem, że to jest moja kulturalna macierz, Rondo i kino Rejs na zawsze będą moim Berlinem lat dwudziestych, Nowym Yorkiem lat czterdziestych, Londynem swingujących lat sześćdziesiątych.

A jednak w radosnych wspomnieniach czai się po kryjomu zawsze jakiś smutek. Bo cóż z tego, że spełniłem swoje marzenia, mam szczęście być filmowcem. W moim domu w piwnicy sam nawet założyłem malutkie rodzinne kino, w którym mogę oglądać każdy film, na jaki znajdę ochotę.

Uszedłem już ponad połowę drogi swojego życia i na próżno szukam w sercu tego uczucia, które pamiętam z pierwszego rzędu w kinie Rejs: że wygrałem los na loterii, że ta sala należy wyłącznie do mnie, że już jutro, już niedługo, za jakiś czas już, ja sam będę robił filmy, a świat będzie należał wreszcie tylko do mnie.... Gdzieś mi pierzchnęło, umknęło mi to szczęście zaczynania wszystkiego od nowa, od nowa.

Niech już się skończy ta marudna pandemia, niech zostawi mnie chwilkę jeszcze przy życiu, muszę je w końcu odnaleźć, to szczęście, tam, między rzędami foteli, w rozświetlonych srebrnym promieniem mrokach kina Rejs.

Marcin Bortkiewicz, reżyser